

O Wolność Trzeba Walczyć

Otwieram oczy.

Zimno.

Jest to w sumie jedyne, co odczuwam. Zimno i chłód, chłód i zimno. Naprzemiennie dają mi się we znaki, nie chcąc odpuścić.

Rano zawsze tak jest. Budynek nie jest ogrzewany, a my posiadamy tylko cienkie spodnie z szorstkiego materiału i zapinaną na trzy guziki, w dodatku za małą koszulę. Pora roku nie ma wpływu na nasze zaopatrzenie – to część kary, jaką przyszło nam zapłacić.

Kilka minut po przebudzeniu, drzwi celi otwierają się i staje w nich dozorca. Krzepki mężczyzna, łysiejący, rozmowny niczym słupek uliczny. Codziennie rano przychodzi by zabrać nas na śniadanie, mnie i moich trzech towarzyszy niedoli. Codziennie po południu odprowadza nas na obiad i codziennie wieczorem idzie z nami na kolację, za każdym razem wydając znikomą ilość jakichkolwiek dźwięków.

Każdy mój dzień wygląda tak samo.

Wstaję. Narzekam na temperaturę, po czym, nie zamieniając słowa ze współlokatorami, idę na śniadanie. Po dwóch kromkach chleba, sałacie i kubku mocnej, czarnej kawy jestem bardziej do życia. W drodze powrotnej rozmawiam z Jeffem – najbardziej rozsądnym z całego naszego czteroosobowego grona – a następnie siedzimy w małej celi, każdy zajęty sobą. Dozorca odstawia nas na kolejny posiłek. W przerwie między nim, a zajęciami grupowymi z psychologiem gramy w pokera przesznużowaną talią kart, obstawiając płyty odłóżającej od łóżek farby zamiast pieniędzy. Po kolacji mamy dwadzieścia minut koszykówki na podwórku, na oko rozmiarów sali gimnastycznej w przeciętnej podstawówce. Wieczorem narzekamy na wszystko, zaczynając od gburliwej kucharki, kończąc na ohydny smrodzie wybijającej kanalizacji.

Rutyna.

Na początku próbowałem z nią walczyć. Podcinałem nogi strażnikom, obrażałem terapeutów i zgrabnie zagadywałem innych ludzi, za mało zgrabnie jednak by doczekać się odpowiedzi. Niestety wszystko z czasem mija. Łaknienie wolności, chęć wyrwania się z ramion jednostajności ginie pod butem więziennych strażników.

Zostaje tylko obojętność, płacząca nad resztkami zgubionego, młodzieńczego wigoru.

O, i rutyna. Ona też zostaje, jako jeden z niezmiennych składników mojego marnego żywota.

— To smakuje jak glina. — Jeff przetyka kęs chleba i krzywi się nieznacznie. Wzruszam ramionami w odpowiedzi. Ja również żuję ten nieapetyczny wypiek, ale, szczerze mówiąc, nie bardzo obchodzi mnie jak smakuje. Śniadanie to śniadanie.

— Gorzej. — Siedzący dwa krzesła dalej Azjata grzebie plastikowym widelcem w zwiędłej sałacie. Nie dodaje nic więcej, żaden z nas nie odpowiada. Łapię kubek z kawą i biorę duży łyk. Ciepławy płyn prześlizguje się po gardle, nawilżając je, a ja czuję się lepiej. Jakby znajdująca się tam kofeina już oddziaływała, dając mi potężnego, energetycznego kopa.

Znajdujące się pod sufitem głośniki trzeszczą donośnie, długi pisk sprawia, że kilka osób zasłania uszy. Dopijam kawę, w spokoju słuchając jak metaliczny głos ogłasza koniec posiłku i rozkazuje stawić się na apel w tempie natychmiastowym.

Podnosimy się i wychodzimy na zewnątrz. Na podwórku czekają już dozorczy, każdy przy swoim segmencie, większość strażników i zarządca.

Rozglądam się wokół, przyglądając się ludziom. To nie jest ciekawość, gdyż doskonale wiem, jak wygląda człowiek. Raczej...uprzejme zainteresowanie.

Pobyt w jednym z angielskich więzień nie jest łatwy i widać to od razu, nie ważne, jak bardzo ktoś chciałby to przegapić. Zmęczone twarze, zwiotczałe ciała i ta pustka. Pustka w spojrzeniu i postawie, którą ja sam tak często widuję w lustrze. Nikt nie jest zainteresowany obwieszczeniem. Wszyscy po prostu stoją niczym woskowe figury, czekając na moment, kiedy będą mogli wrócić do pomieszczeń. To miejsce wysysa duszę z człowieka.

Podczas, gdy zarządca mówi, wpatruję się uparcie w plecy mężczyzny stojącego przede mną. Ciekawe z jakiego materiału są te uniformy?

Błądzą myślami gdzieś między szorstką wełną, a podróbą tworzywa sztucznego, gdy czuję, że wczorajszego kompotu było jednak trochę za dużo. Wycofuję się z szeregu, na szczęście ostatniego, i staram się przemknąć w kierunku wyjścia, gdzie strażnicy trwają nieprzerwanie w niezmiennych pozycjach.

— Kolega gdzie się wybiera? — mamrocze jeden z nich, zgniatając między wargami niedopałek papierosa. Robi krok w moje lewo, zasłaniając drzwi do toalet.

— Muszę do ustępu.

— Trwa apel, kolego. Jak zarządca skończy. — skruszone coś, udające tytoń, wiruje na wietrze i opada na nasze buty.

— Jestem chory. Muszę wyjść. — mówię, starając się brzmieć szczerze. Mięśnie twarzy drętwieją mi od utrzymywanego na niej wyrazu zirytowania. Mężczyzna przesuwając niedopałek z jednego kącika ust na drugi. Ma żółte zęby.

— Kolego! — woła do niskiego faceta obok. — Weź odprowadź kolegę do wychodka!

Strażnik obrzuca mnie ciężkim spojrzeniem i bez słowa macha na mnie ręką. Idę za nim, a gdy docieramy do celu, warczy:

— Za dwie minuty masz być z powrotem. Patrzą na zegarek.

Odwraca się i odchodzi, znudzony objając się o ściany korytarza. Widocznie nie chce mu się stać i czekać aż jakiś podrzędny więzień załatwi, co ma do załatwienia.

Uchylam drzwi. Dochodzą zza nich strzępy rozmowy, kilka pojedynczych zdań wyrwanych z kontekstu:

— Tu macie bilety. Gdzie ten trzeci?

— Przenieśli go. Nie zdążył.

— Przykre, ale nieuniknione. Jak się stąd zabierzecie, idziecie na lotnisko, tu macie dokładne dane. Minie parę godzin zanim zaczną was szukać i kilka kolejnych nim podadzą to do publicznej wiadomości, macie więc trochę czasu. Lądujecie w Pырzowicach, tam powinniście być bezpieczni.

— Jasne. Dzięki za pomoc.

Mięśnie ramion bolą od utrzymywania ich w tej samej pozycji, dlatego decyduję się wejść do pomieszczenia. Udając, że nie mam bladego pojęcia, o czym dwóch więźniów mogło rozmawiać z głównym strażnikiem w tak ustronnym miejscu, podczas apelu, wchodzę do kabiny, uważnie zamykając za sobą drzwi. Nerwowe szepty dobiegają z głównego pomieszczenia, jednak nie obchodzi mnie to. Ci dwaj mogliby się zmyć nawet teraz, a ja wróciłbym na zebranie jak gdyby nigdy nic. Niestety nie jest mi to dane, bo przy umywalkach podchodzi do mnie jeden z nich. Jego łysa czaszka lśni w blasku jarzeniówek, a od ucha przez kark mknie poszarpana blizna, ginąca pod cienką, więzienną koszulą.

— Słyszałeś nas. — Jest to bardziej stwierdzenie niż pytanie, więc nie odpowiadam. Zajmuję się dokładnym opłukaniem palców pod stróżką zimnej wody. — Nie odpowiadasz, co?

Wzruszam ramionami i zakręcam kran. Nie ma ręczników ani suszarki, więc wycieram mokre dłonie w spodnie i kieruję się do wyjścia.

Głuchy huk dociera do mnie wcześniej niż promieniujący ból w tyle czaszki. Kilka sekund potem ruszam podłozę na spotkanie i ostatnie, co pamiętam to stłumione, przepełnione gniewem, szepty.

Wciągam powietrze do płuc z całą siłą na jaką mnie stać Tępe igielki wbijane raz po raz w tył głowy dalej nie odpuszczają, jednak czuje się...inaczej?

Jeszcze raz biorę głęboki wdech, dalej nie uchylając powiek. Jest świeże, rześkie. Wyczuwam w nim nutkę spalin, ale ani śladu więziennego odoru.

Potem dochodzi hałas. Klaksony i gwar ulic uderzają po uszach, a zdziwienie nie pozwala mi dłużej usiedzieć w miejscu. Otwieram oczy, unosząc się z materaca. Czyjeś dłonie lądują na moich ramionach i popychają mnie z powrotem na łóżko, z którego przed chwilą się podniosłem.

— Leż. Mocno oberwałeś.

Znowu on. Tym razem ma na sobie zwykle jeansy i golf, zasłaniający w jakimś tam stopniu podłużną, białą kreskę. Zawzięcie mieli szczękami gumę do żucia.

— Gdzie my...? Co się...? — Nie jestem w stanie złożyć sensownego zdania. Zbyt przytłacza mnie widok przytulnego pokoju o zielonych ścianach i powiewających w oknach firankach.

— Chcieliśmy uciec. — Facet nie owija w bawełnę. Krzyżuje ręce na klatce piersiowej i, patrząc na mnie spod zmarszczonych brwi, tłumaczy — Niestety wlaźlesz nam w połowie akcji i nie wierzę, że byś nie wygadał.

— Nie wygadałbym. — fuczę. Nie obchodzi mnie, co ci goście tam robili.

— Ta, a ja ostatnio widziałem latającego kota. — Do pokoju wchodzi drugi z uciekinierów. Jest on posiadaczem jasnej, opadającej na oczy czupryny i zaskakująco pospolitej twarzy. Przyrzekam, gdyby teraz wyszedł, nie byłbym w stanie podać żadnych jego cech charakterystycznych. — Mówiłem, żebyś nie przyłożył mu za mocno, Szrama.

— Samo wyszło — burczy pod nosem Szrama i przeciera zaczerwienione ze zmęczenia oczy. Jego kompan wskazuje ręką na krzesło, gdzie spoczywa komplet nowych ubrań i mówi:

— Przebierz się, musimy dotrzeć na lotnisko zanim zaczną się prawdziwe poszukiwania.

Po co?

— Przecież już uciekliśmy. — Znowu się podnoszę, starając się opanować zabójcze zawroty głowy. — Nie widzę powodu by się dalej wysilać.

Cisza. Dwójka mężczyzn patrzy na mnie z niewyraźnymi minami, jednak po chwili Szrama dopada do mnie, łapie za kołnierz i unosi, zrównując nasze twarze. Mimo, że przed chwilą przekonywał mnie do odpoczynku, teraz nie ma w nim ani trochę delikatności.

— Naprawdę sądzisz, że jak będziemy tu siedzieć i popijać herbatkę, to nas nie znajdą? — pyta z niedowierzaniem, a jego miętowy oddech atakuje moje nozdrza — Wolność stale trzeba zdobywać, nie można jej tylko posiadać. Przychodzi jako dar, utrzymuje się poprzez zmaganie¹.

Nie rozumiem. Nie rozumiem. Przecież wydostaliśmy się. Jesteśmy wolni.

— Co?

— To Jana Pawła II. Wiesz, tego papieża. — Zamiast Szramy odpowiada mi blondyn, dalej tkwiący na progu. — Ma fioła na jego punkcie. W przetłumaczeniu na ludzki znaczy to, że wydostałeś się z więzienia, dosłownie, przez przypadek, a teraz jeśli nie chcesz tam znowu wylądować, to musisz się postarać. Masz pięć minut.

Mężczyzna obraca się na pięcie i rusza w głąb korytarza. Szrama bierze głęboki oddech i puszcza mnie, przez co opadam na łóżko. Wychodzi, a ja chyba nie mam wyboru. Zbliżam się do krzesła.

Nie umiem pojąć ich toku rozumowania. Nie, tego nie jestem w stanie zrobić, jednak co do jednego mam całkowitą pewność i na tę myśl ły szczęścia napływają mi do oczu, a serce śpiewa i tańczy.

Jesteśmy wolni.

Chyba jednak nie do końca.

Kiedy po krótkiej drzemce w samolocie budzę się zlany potem, przerażony i nie kontaktujący z otoczeniem, zaczynam rozumieć, co Szrama miał na myśli. Jesteśmy wolni fizycznie, mimo że on i jego kompan – Jerry – cały czas trzęsą portkami, jednak nasza psychika mocno ucierpiała. Nie potrafię pozbyć się wrażenia, że zaraz ktoś obudzi mnie, wymierzonym obitym metalem czubkiem buta, kopniakiem albo odbierze zasłużone śniadanie i mam hamulec przy korzystaniu z wszystkiego, co mnie otacza. Od książki, którą znalazłem w kieszeni poprzedniego fotela aż do zwykłego snu, podczas którego nie opuszczają mnie wizje starej celi.

— Wstawaj. — Jerry szarpie mnie za ramię i podnosi z siedzenia. Widać, że strasznie im się spieszy, gdyż przeciskamy się między ludźmi; blondyn przyciska do piersi małą torbę - nasz jedyny bagaż, otrzymany od więziennego strażnika.

Przez straż graniczną przechodzimy dość łatwo. Mężczyzna, siedzący za szybą, nawet na nas nie patrzy. Przegląda nasze dokumenty i przepuszcza przez bramki, zagryzając emocje starą kanapką z tuńczykiem. No, niezłych urzędników w tym kraju mają.

Zaraz po przejściu przez drzwi terminalu moi towarzysze zakładają na nosy ciemne okulary i skrywają twarze za czapkami z daszkiem. Ja również dostaję swój komplet, ale robię użytek jedynie z kawałka czarnego plastiku. Paradowanie z twarzą zakrytą jak na rozboju przyciąga więcej uwagi, niż gdybyśmy stanęli na szczycie London Eye i wrzasnęli, że właśnie uciekliśmy z zakładu karnego.

W taksówce strasznie śmierdzi papierosami i kiedy w końcu z niej wysiadamy, wręcz wysyłam podziękowania do niebios. Szrama i Jerry ciągną mnie w kierunku małej kamienicy, zapewne przedwojennej. Małe mieszkanko, które się w niej znajduje, podoba mi się. Dwa pokoje, maciupka kuchnia i łazienka, porównywalna rozmiarem do komórki na miotły, są urządzone surowo, a właściciel wyraźnie nie posiada artystycznej duszy. Mimo to, jest to dom.

— Skąd wy to w ogóle macie? — wskazuję na klucze, które Szrama odłożył na blat obok piekarnika. Zapytany patrzy na mnie znad ramienia i, wstawiając wodę na kawę, odpowiada:

— Thomas nam pomógł. Ten strażnik. To jego mieszkanie, załatwił nam bilety i ucieczkę. Dobry człowiek.

— A gdzie tak konkretnie jesteście?

— W Katowicach. Śląsk, Polska, nie wiem, czy kojarzysz. Mu uczyliśmy się trochę języka, ale ty musisz na razie poradzić sobie po angielsku. Miał być z nami jeszcze jeden, ale nie zdążył i ty się załapałeś. Jesteś Charles, prawda?

— No raczej.

— Od teraz masz więc na imię Karol.

— Karel?

— Karol. Karol Sobicki. — Szrama posyła mi namiastkę uśmiechu i jest to pierwsza oznaka wesołości jaka widzę u niego od kilku, dobrych godzin. Mężczyzna wyraźnie się rozluźnił i chyba dotarło do niego, że już po wszystkim, że moja bierna postawa nie była bezpodstawną — Musimy pozmienić zdjęcia w dokumentach, ale jeden z naszych ludzi zrobi to bez problemu.

Po udzieleniu tych informacji, nie wyjaśniając kim są „nasi ludzie”, mój rozmówca wychodzi, a ja zostaję w kuchni sam, z gwiżdżącym czajnikiem. Znowu czuje się tak samo, jak w tamtym pokoju hotelowym. Mam aż za dużo wolności i, mimo iż przytłacza mnie ona niemiłosiernie, jestem szczęśliwy. Naprawdę szczęśliwy jako prawie wolny człowiek.

Wchodzę do kuchni. Zgarniam z blatu talerz ze śniadaniem i siadam przy stole, naprzeciwko dwójki współlokatorów.

Wszyscy trzej przyzwyczailiśmy się już do nowego życia, przynajmniej częściowo. Pracujemy na tej samej budowie i po tych kilku tygodniach, które minęły od naszej ucieczki wszyscy czujemy się o niebo lepiej. Jerry zapisał się do biblioteki i pracuje po godzinach, a Szrama zaczął chodzić do baru w okolicy. Podejrzewam, że nie umie sobie poradzić z tym, co zostało w naszym ojczystym kraju – jego żona i córka zostały już poinformowane o naszym nagłym zniknięciu - i zapija smutki alkoholem. Ja patrzę na to przez palce, w końcu jako osoba, która sprintem do nieprzytomności stara się zapomnieć o ostatnich latach, nie mam prawa nikogo oceniać, jednak Jerry nie ma takich oporów. Wszelkie trunki wylewa do zlewu, w porywach emocji nawet przez okno, na chodnik przed blokiem. On sam nie ma takich problemów. Nie zdążył się przyzwyczaić do więziennego reżimu, gdyż smakował go zaledwie kilka miesięcy. My musimy się na nowo przestawić i zakodować sobie w głowach, że teraz możemy mieć wszystko, dokładnie w ten sam sposób, w jaki wcześniej nie mogliśmy mieć nic.

— Niedziela. — Właściciel blondwłosych kosmyków wzdycha, odchylając się na krzesło i z lubością popijając czarną kawę.— Kocham ten dzień. Co macie zamiar dzisiaj robić?

Wzruszam ramionami. Będzie to pewnie dzień jak co dzień. Przepelniony strachem przed zbyt dużą ilością wolnego czasu przeznaczonego na rozmyślania i skończy się jak zwykle – na bieżni, gdzie będę wypluwał z siebie płuća.

— Ja idę do baru. — Franek, pseudonim Szrama, podnosi się z krzesła i zabiera bluzę z oparcia drewnianego krzesła.

— Ale tak z samego rana? — Jerry krzywi się, jak zwykle z resztą na każde wspomnienie o nowym hobby naszego kompana. Ten patrzy na niego krzywo i zapina zamek błyskawiczny. Bez słowa odwraca się i wychodzi z mieszkania. — Martwię się o niego. Pije coraz więcej i coraz mniej myśli.

Dojadam chleb, cienko posmarowany masłem i płukam talerz. Na tym rozmowa się kończy, ponieważ żaden z nas nie wie co mógłby jeszcze powiedzieć.

Kilka godzin później stoję na środku chodnika, opierając się o słup i łapczywie łapiąc oddechy. Przechodnie przyglądają mi się z przelotnym zainteresowaniem, jednak zaraz znikają za rogiem. Przecieram czoło z kropelek potu i zginam się w pół, starając się opanować kłującą kolkę.

Podczas biegania skupiam się zazwyczaj tylko na jednym – przebieraniu nogami ile wlezie, pędzeniu przed siebie na łeb na szyję, byle skupić się na piekących zakwasach i szczypiącym od zimnego powietrza gardle. Nie chcę mieć ani ułamka sekundy na rozmyślanie. Ciemna cela, kraty i to przekłute żarcie cały czas nawiedzają mnie w snach i naprawdę nie muszę jeszcze krążyć wokół tego w ciągu dnia.

Zaczynam iść – to najlepszy sposób na uspokojenie szalejącego serca. Zatrzymałem się niedaleko swojego miejsca zamieszkania, więc dojście tam zajmuje mi niedużo czasu. Gorzej ze wspinaniem się po dziesiątkach schodów; trzecie piętro to nie przelewki.

Otwieram drzwi i wtaczam się do przedpokoju. Ciężko jest iść prosto, gdy jest się jak wypompowany materac, ale staram się. Zmierzam do swojego pokoju, jednak okoliczności zmuszają mnie do zatrzymania się w progu salonu i oparcia o framugę.

Jerry siedzi na kanapie. Twarz skryta w dłoniach, zgarbiona sylwetka i szloch, wydobywający się z jego gardła, skutecznie zatrzymują mnie w miejscu. Słyszałem wielu płaczących ludzi, jednak nigdy nie jego. On nigdy nie płakał, nie miał prawa tego robić, to był...to był Jerry.

— Złapali go — mamrota pod nosem, widocznie świadomy mojej obecności — Bił się pijany i psy go zgarnęły. Rozpoznali go.

Unosi głowę. Opuchnięte powieki opadają ciężko, a pierwsze łzy zasychają na policzkach.

Chwilę trwa, zanim to do mnie dociera.

Szrama nie ma. Złapali go. Odesłali. Zniknął. Nie wróci. Jerry nie wyleje po raz kolejny wódki nad parapetem, a ja nie pokłócę się z nim raz następnym o to, który zespół rockowy jest lepszy.

Pod wpływem rozpaczli zmęczone nogi uginają się pode mną, kolana uderzają twardo o panele. Żal zalewa mnie od środka, wypełnia żyły, pali wnętrzności.

Szrama miał rację.

Nie ważne, gdzie uciekniemy; nie ważne jak dobrze się schowamy i tak będą nas szukać. A my, jeśli spoczniemy, jeśli usiadziemy i będziemy popijać herbatkę nie uchowamy się długo. Trzeba kryć się, uciekać, walczyć o tak pożądaną wolność.

On nie poległ jednak tylko w tej kwestii. Był więźniem własnego umysłu, wspomnień i tego co działo mu się w głowie.

Teraz już rozumiem.

Jeśli się nie postaram, nigdy nie będę wolny.

A jeśli się wykażę, to może uda mi się nie być zniewolonym.

ⁱ Słowa te należą do Jana Pawła II